JERZY SKARŻYŃSKI

ur. 1921; Uchanie

Miejsce i czas wydarzeń	Berlin, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Berlin, II wojna światowa, Niemcy, praca dla Niemców, praca na kolei, wyżywienie, brat, Ryszard Skarżyński

Praca na kolei w Berlinie

Chodzę po tym obozie i dowiaduję się co, gdzie, jak. Ukraińcy siedzą w okienkach do załatwiania. Podchodzę i po niemiecku, a on patrzy na mnie i mówi: „No to wy gawarite pa polsku". No to pytam, jak tu długo będziemy siedzieć, bo przecież nie damy rady na tej kapuście. „Wybieraj – mówi do mnie, daje mi wybór, to ja szczęśliwy – albo Zagłębie Rury, albo Berlin". A Zagłębie Rury to ja pamiętam z gimnazjum – ten przemysł, kopalnie, huty, to wszystko, to tam będzie rąbane jak diabli. To łeb nadstawiony. W Berlinie też. No ale tu trzeba ciężko pracować. Jak nas zasuną gdzieś do huty, co to będzie. „No to co wybierasz?", „Berlin". Ci moi się godzą, nic nie mówią. Na drugi dzień wyprowadzają nas, staje dwuszereg nas i jeszcze innych, bo tutaj jest kilkunastu kolejarzy niemieckich. Czytają listę i [rozdzielają mnie] z bratem, ja mówię: „Nain, to jest mój brat, razem tu będzie ze mną". Zamieniają i brata już mam przy sobie. Podchodzi do nas kolejarz, przedstawia się spokojnie i mówi: „Jedziemy na dworzec Westend, tam będziecie w baraku. Będzie was tam razem trzydziestu pięciu i pracujecie w oddziale technicznym numer dwadzieścia. I spędza nas w S-Bahn, tutaj ja się zapoznaję z nową techniką transportową, co to jest S-Bahn. I już zaczynam przypatrywać się, jak wygląda praca na kolei. Po drodze sygnalizacja. Przyjeżdżamy na ten dworzec, do baraku idziemy, izby są przygotowane. Słoma, na słomie leży cienki pled, snopek pod głowę i drugi pled do przykrycia. I jest najmniejszy pokoik, szóstka. Wybieram ten najmniejszy, biorę sobie łóżko na dole, brat nade mną. Z nami Tadzio, taki sympatyczny, kulturalny chłopak, i Tadek Lesiński, i jego bliski znajomy z Rembertowa, i jeszcze jeden. I zaczęliśmy żyć w ten sposób, z tym tylko, że się jednak wszy pokazały. Wobec tego szybko poszliśmy do swojego warsztatu, nafta była, bo musiała być, drzwi wysmarowaliśmy naftą, żeby wszy nie wchodziły do tego naszego pomieszczenia. I zaczęło się żyć w Berlinie. Przychodzi majster, starszy pan, taki w tym służbowym płaszczu długim, mówi, że on jest majstrem, ten odcinek torów kolejowych S-Bahn jest pod jego zarządem, on odpowiada za to. To ja się pokazuję z moim niemieckim, byłem jak

gdyby zastępcą tego naszego ukochanego majstra.
Jak dostaliśmy jedzenie, to mówimy – będziemy tęsknić za naszymi kartonami. Jak żyć? Ale to był dworzec towarowy, setkę torów mieliśmy do obsługi i na tych torach robiło się składy, które przyjeżdżały ze wschodu, z Polski, z kartoflami, z burakami, z kapustą i tak dalej. Pracowaliśmy na górce rozrządowej, do kartofli dostęp był i każdy zabierał sobie. Wieczorem obieraliśmy i żarliśmy po takiej misce kartofli. I to nas uratowało. Jednej nocy awantura na tej ogólnej sali straszna. Budzę się, słyszę i wybiegam. Co się dzieje? Było dziesięciu rembertowiaków i oni chcieli tutaj swoje porządki zaprowadzić w stosunku do tych pozostałych dwudziestu pięciu. A moich dziesięciu nie było, bo poszli. Stanąłem na stół i mówię: „Durnie, wy nie macie w tej chwili kierownika obozu i robicie szum. Chcecie, żeby tu przyszła policja, zrobiła porządek między nami? Jak będzie cicho, majster powiedział, żeby było cicho, to będziemy siedzieli długo bez knuta nad sobą, zrozumcie to. Trzeba majstra szanować. Wybierać trzech". Posłuchali mnie, zgodzili się i wybierają. „Trójka rządzi i święte jej słowo. Spać tymczasem". Od tej pory był spokój. Co ja nakazałem, to było. Słuchali mnie bardzo.
Zacząłem prowadzić taki arkusz, Listę zrobiłem przywożenia do naszego baraku obiadu po zakończeniu pracy dziesięciogodzinnej. I to przyjeżdżało w garach na wózku takim dwukołowym ciężkim, trzeba było wysyłać po dwóch codziennie na zmianę, przywozili z kuchni. A do kuchni był z kilometr. I ja prowadziłem te dyżury, wszystko pięknie grało, dostawaliśmy zupę. Jakie te zupy, to oddzielna opowieść. Drugie danie to były kartofle, litr kartofli. Wsypywało się do kubełka, bo taką miarę nam podali, do litrowej puszki po konserwach. Jak były małe, to było więcej, jak duże, to mniej. Do tego dochodził czarny chleb, dostawaliśmy kilogram, na trzy lub cztery dni. I do tego była marmolada, tyle, co pudełko zapałek. I margaryna tak samo – jak pudełko zapałek. Na trzy dni oczywiście wszystko, nie na jeden dzień. I to było nasze wyżywienie. Czasem nam dali kawałeczek jakiegoś mięsa, nie wiemy, z czego to było. Niemcy w ogóle są artystami w kuchni złudzeń. Oni sosy robią ze wszystkiego, co się daje, tymi sosami nam podlewali to wszystko. No i do tego mogłeś sobie wziąć garnuszek zbożowej kawy.
I czas leciał. Były ciężkie chwile, na przykład następną stację, która nazywała się Witzleben, dywanowym systemem zrąbali. System dywanowy polegał na tym, że nie pojedynczy samolot miał nakazane jakiś obiekt zniszczyć, tylko leciało na przykład pięćdziesiąt, sto samolotów i wszyscy w jednym miejscu zrzucali bomby. Jak spadło na ten Witzleben koło nas, no to mieliśmy rzeczywiście krwawą pracę, bo wszystko zniszczone. A S-Bahn musiał chodzić wokół Berlina, tam była dobra organizacja transportu osobowego – jeden pierścień w jedną stronę, drugi pierścień odwrotnie. A my mieliśmy do obsługi kawał tych torów właśnie, to musiało się kręcić wszystko. I wtedy dostawaliśmy w skórę, straszne to było. Szyny dziesięciometrowe, u nas w Polsce były pięciometrowe. A tutaj dziesięć metrów i to trzeba było dźwigać w takich kleszczach specjalnych. Później podkłady, wymiana. Już później do tego podbijanie

albo ostry kamień, a to zależało od odcinka. Trzeba było podbijać we dwóch na krzyż każdy podkład. To ciężka praca. A majster, staruszek, był tak wyszkolony, że nie potrzebował aparatury. Jak już zrobiliśmy odcinek, to on się kładł na ziemię, patrzył, czy szyny równiutko lecą, czy w lewo, czy w prawo. Majster był szczęśliwy, miał spokój staruszek, emeryt. Wiedział, co to są Niemcy faszystowskie, on swoje przeżył. I był szczęśliwy, że cicho sza, że robimy. A my wiedzieliśmy, jak pracować. Na S-Bahnie trzeba było porządnie robić, bo to zaraz wylazło, nieszczęście jakby wyleciał wagon z toru. Natomiast boczne, gospodarcze tory, jak weszliśmy w inne dzielnice, na przykład Spandau, to było tam gdzie więzienie, to my tam robiliśmy tak, że jak wagony poszły, to trzeba było chodzić pięć razy poprawiać. Tak robiliśmy. Wiedzieliśmy, jak się zachować. I tak się jakoś w tym Berlinie żyło.
Jak w nocy musieliśmy maszerować, gdzieś tam kilka ulic dalej, żeby dojść do tego toru S-Bahnu, to ustawialiśmy się w czwórki, majster szedł chodnikiem, a my czwórkami i śpiewaliśmy w takt marszu „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy". Przez Berlin idąc, śpiewaliśmy nasz roboczy, niewolniczy hymn.

Data i miejsce nagrania	2016-06-09, Warszawa
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"